

## Na (finansowym) marginesie

Temat pieniędzy w świecie polskiej opozycji wczesnych lat 80 XX wieku był zawsze zagadnieniem delikatnym. Z wielu powodów.

Bardzo charakterystyczne, że dopiero teraz – po dwudziestu latach od zmiany systemu – pojawiły się pierwsze dyskusje na temat realnej siły nabywczej peerelowskiego pieniądza. Debata na ten temat nie wyszła jednak ze środowiska historyków, lecz ekonomistów.

Nie wdając się w szczegóły, stwierdzić można z pewnością dwie rzeczy – życie w PRL było o wiele droższe, niż wydaje się to obecnie wielu osobom wspominającym tamte czasy przez pryzmat własnej młodości i – w ogromnej większości przypadków – droższe niż obecnie. Nieliczne wyjątki – w postaci np. bardzo niskich cen oficjalnej prasy, nie wpływają na ogląd tej sytuacji. Jednocześnie siła nabywcza przeciętnej peerelowskiej pensji była o wiele wyższa, niż wskazywały na to czarnorynkowy przelicznik na dolary. Choć nominalna wartość pensji robotnika czy nauczyciela oscylowała w cinkciarskim przeliczeniu wokół 10–20 dolarów, to współcześni ekonomiści oceniają jej realną siłę nabywczą na kilkaset dolarów w przeliczeniu na koszyk podstawowych produktów. Tyle tylko, że w latach 80. XX wieku, a zwłaszcza ich pierwszej połowie, koszyk ten świecił w polskich warunkach pustkami.

Rozważania dotyczące wartości pieniądza, choć mało romantyczne, mają spore znaczenie dla zrozumienia sytuacji demokratycznej opozycji. Prócz składek członkowskich z okresu legalnego działania Solidarności, zorganizowany ruch opozycyjny dysponował środkami pochodzącymi z rozmaitych zachodnich instytucji. Wbrew oficjalnej propagandzie tropiącej wszędzie pieniądze amerykańskiej CIA, były to przede wszystkim środki pochodzące od zachodnich central związkowych, organizacji i bezpośrednio – rządów. Pod względem technicznym pieniądze płynęły głównie przez Watykan (i Bank Watykański) oraz rozmaite organizacje charytatywne. Publikowane wspomnienia, m.in. Lecha Wałęsy wskazują na znaczną rolę Kościoła katolickiego i Watykanu jako pośrednika w transferze środków.

Posiadanie przez Solidarność znacznych środków finansowych umożliwiała nie tylko normalne funkcjonowanie związku w okresie między sierpniem a grudniem, lecz także skuteczną pomoc ukrywającym się i rodzinom internowanych lub aresztowanych działaczy po wprowadzeniu stanu wojennego. Fakt ciągłego propagandowego „polowania” przez władzę wymuszał wielką ostrożność w korzystaniu ze środków finansowych. Z tego mniej więcej powodu dlatego nie wchodziło w grę korzystanie z hoteli – nie tylko dlatego, iż były to miejsca szczególnie infiltrowane przez aparat bezpieczeństwa. Pojawienie się opozycyjnego działacza w hotelu klasy „luksusowej”, jak określano wówczas placówki prowadzone m.in. przez ORBIS, dałoby niechybnie asumpt do nagonki propagandowej sugerującej życie w luksusie w czasie, gdy większość społeczeństwa klepie biedę.

Atmosfera ciągłego tropienia „obcych” pieniędzy i wymyślanych na propagandowe potrzeby „nadużyć” zmuszała działaczy Solidarności do szczególnej staranności w rozliczaniu i księgowaniu środków. Trud ten, choć ogromnie ryzykowny w warunkach nielegalnej działalności opozycyjnej (przejście dokumentacji finansowej groziło dekonspiracją wielu osób i struktur), okazał się w ostatecznym rachunku zbawienny.

Maciej Wętyczko

## To byli fantastyczni ludzie

Działalność z lat osiemdziesiątych wspominają: prof. Stanisław Bereś, Aleksander Gleichgewicht, Piotr Maciejewski, Bogdan Zdrojewski - minister kultury i dziedzictwa narodowego.

### Stanisław Bereś

Nie uważam się za działacza podziemia niepodległościowego; myślę, że byłem raczej świadkiem lub kibicem tego ruchu. Tak się zdarzyło, że liderzy SKS-u studiowali na naszym wydziale. To byli ludzie, których dobrze znałem, ponieważ byłem opiekunem ich roku na polonistyce. Mam na myśli na przykład Jarka Brodę, Leszka Budrewicza, Mariusza Wilka, Dankę Stożecką, Renatę Otolińską, Alę Badowską, Jolę Piątek, Dankę Skibę, Rafała Bubnickiego, Elkę Tarkę, Wiktora Grotowicza. Nie pamiętam, kto z nich gdzie i kiedy był przypisany, niemniej to był ten krąg osób, z którymi byłem skumpłowany. Przychodzili też studenci z innych wydziałów, ale w zasadzie większość stanowili poloniści.

To byli fantastyczni ludzie. Do dziś się z nimi przyjaźnię, z większością mam kontakt. Oni ryzykowali, ja mniej, może nawet wcale, ale trzymali ze mną sztamę. Czułem nawet, że w jakiś sposób mnie chronią, choć sami byli obiektem policyjnych łowów. Wiedzieli, że piszę doktorat o Miłoszu, wówczas pisarzu na indeksie, i nie chcieli, żebym się władował w jakąś ciężką kałużę, bo przecież z ich powodu były stale jakieś afery. W końcu rektor i sekretarz uczelnianego oddziału partii domagali się ich zawieszenia,

a najlepiej wyrzucenia ze studiów. Więc próbowałem ich chronić, na tyle, na ile mogłem. Przynajmniej nie pomagałem w nagonce. Tłumaczyłem więc cierpliwie dziekanom, że tak naprawdę niczego złego i wywrotowego nie robią, że tylko czytają książki, i że głównie chodzi im o dostęp do zakazanej literatury. Zresztą dyrektor Instytutu Filologii Polskiej prof. Hernas, był jak najbardziej otwarty na te kwestie. U niego w gabinecie było jakby jedno centrum opozycji, a drugie – najważniejsze – w naszej bibliotece instytutowej. Podziemne książki i czasopisma, musiały być gdzieś składowane, więc wędrowały tam.

Autorem niezależnego obiegu zostałem nieco później, nie do końca nawet wiedząc, że to się stało. Tak się śmiesznie zdarzyło, że niedawno musiałem autoryzować swoje hasło do nowego słownika biograficznego, w którym znalazłem informację, że debiutowałem książką w obiegu niezależnym. Byłem zdumiony, zwłaszcza, że w hasle nie było jej tytułu, tylko ogólnikowa wiadomość, że był to druk podziemny i mam uzupełnić. Pomyślałem: oszalały te redaktorki czy co? O co właściwie chodzi? Zacząłem myśleć i w końcu zrozumiałem, bo pod spodem była wskazówka, że tekst dotyczył historyzmu. I tak



doszedłem po nitce do kłębka. Gdzieś w 1977 lub w 1978 roku przyszedł do mnie Leszek Budrewicz lub Jarek Broda i powiedział: – „Słuchaj stary, przydałoby się napisać esej o aktualnej sytuacji w poezji“. Ja miałem inny pomysł, bo chciałem spojrzeć na ówczesny romans historyczmu i współczesności, czyli pokazać jak próbujemy interpretować czas współczesny poprzez historię. Niespecjalnie wiedziałem, dla kogo to będzie, ale napisałem, bo myślałem, że chodzi o jakiś almanach studencki. No i potem któregoś dnia otrzymałem bibułę z tekturową okładką, zatytułowaną Szansa politycznego historyzmu. Oczywiście z moim imieniem i nazwiskiem jak byk. Nie wiem, ile tych egzemplarzy było, piętnaście, dwadzieścia, a może pięćdziesiąt, ale nie sądzę,

żeby dużo. Najzabawniejsze, że przez 30 lat nie przyszło mi do głowy, że to publikacja bez debitu. A zatem podziemna.

To pokazuje, że w zasadzie wsiąkanie w drugi obieg było bardzo proste. Ma się młodych przyjaciół, którzy działają w podziemiu i oni najpierw proponują bibułę do czytania. Później jest jakaś akcja protestacyjna i trzeba się podpisać. Muszę notabene uczciwie powiedzieć, że oni mnie raczej omijali z tymi najważniejszymi listami i petycjami, ale parę razy coś tam podpisywałem. A później przychodzi następny krok, bo ktoś przychodzi i pyta: – „Może byś coś stary napisał do naszego pisma“? I tu pada nazwa, która nam nic nie mówi. No to człowiek myśli: – „Ależ jasne, mogę napisać pod pseudonimem“. Pisze się raz,



Fot. M. Koch / OPIP

potem drugi, a potem coraz częściej. No i już się jest w podziemiu, choć się tego nie czuje. Specjalnie dużo nie grzeszyłem, bo byłem mocno wessanny w swój doktorat, który mnie kosztował sporo wysiłku, bo był ogromny (970 stron), więc specjalnie nie miałem czasu angażować się w podziemne pisanie, ale jednak od czasu do czasu komuś udawało się mnie „upolować“.

Już w stanie wojennym przerodziło się to w marzenie czy pomysł, aby namówić Tadeusza Konwickiego na cykl rozmów przy magnetofonie, co skończyło się dość ważną podziemną książką – nagłośnionym przez Wolną Europę tomem Pół wieku czyśćca, który był rodzajem prywatnej „wolnej amerykanki“, bo powstał poza jakimikolwiek strukturami.

Jeśli chodzi o środowisko naukowe, to uważam, że dość dzielnie się zachowywało, choć na ogół nie byli to ludzie, którzy pchaliby się do podziemia jak niedźwiedź do miodu. Większość sympatyzowała, część udawała, że nie orientuje się, o co chodzi, ale doskonale wiedziała, co w trawie piszczy. Bardzo wielu uczonych kupowało bibułę, przez co wspomagało podziemny ruch wydawniczy. Poza tym przekazywali informacje, cenne kontakty, dyskutowali ze studentami. To było dość

istotne. Oczywiście byli też tacy, którzy mówili, że to jest porywanie się z motyką na słońce. Jeszcze inni, którzy doprowadzali mnie do szału, wygłaszali kazania o konieczności „chronienia substancji“. Rozumiałem to wtedy – i myślę, że młodzi ludzie z podziemia tak samo – jako postulat chronienia własnego tyłka. „Chronienie substancji“ – to była peryfrazja konformizmu i chronienia swoich stanowisk oraz uczelnianego status quo, czyli żeby przypadkiem się nie wychylić, żeby władze nie rozgoniły na cztery wiatry naszego wydziału albo instytutu. Zresztą u nas nikt tego nawet nie próbował, bo organizacja partyjna była za słaba.

Zasadniczo więc na naszym wydziale panowała przychylna atmosfera dla SKS-owców. Oni doskonale wiedzieli, do kogo mogą przyjść po radę czy duchowe wsparcie. Pewnie czasem potrzebowali ogrzać się w ciepłe autorytetów swoich nauczycieli, którzy w końcu to i owo wiedzieli i mogli im coś ciekawego zaoferować. Musiała być jakaś wymiana myśli.

Nigdy potem już nie było takich aktywnych roczników i grup studenckich jak wtedy. Zajęcia nigdy nie kończyły się o wyznaczonym czasie. Zdarzało się, że trwały dwa razy dłużej, a kończyliśmy je w muzeum lub kawiarni, bo młodzież





Fot. Z. Nowak / OPIP

chciała rozmawiać o zjawiskach, których nie było w programach akademickich czy jak u nas – polonistycznych. Mówiło się o Miłoszu, Konwickim, Wacie, Herlingu-Grudzińskim. Mówiło się o wszystkim, a przede wszystkim o zjawiskach podziemnych i emigracyjnych. To były zajęcia, które trwały permanentnie. Czasem się czułem pod ścianą, bo oni byli nienasyчени, a ja byłem młodym asystenciną, który wielu rzeczy zwyczajnie nie wiedział, więc uczyłem się z zajęć na zajęcia, tak jak oni, co w trakcie ćwiczeń rodziło silny power i obustronną rywalizację. Fajne to było.

Ale to nie była tylko uczelniana sielanka. Pamiętam sytuację, kiedy wchodziłem do instytutu i z okna zobaczyłem, jak esbecy zgarniają Renatę Otolińską. Oto trzech dużych facetów próbuje wciągnąć drobną kobietkę do samochodu, a ona się drze, gryzie i kopie. Wiła się jak węgorz, a oni nie mogli jej dać rady, bo się zaparła w drzwiach. Tyle hałasu narobiła, że cała ulica przyglądała się tej scenie i ją komentowali. Aresztowanie stało się wydarzeniem publicznym, bo wszyscy natychmiast dzwonili do znajomych albo przekazywali wiadomość z ust do ust. W efekcie wszyscy z miejsca wiedzieli, co się odbywa w środku miasta. A bezpieka tego bardzo nie lubiła.

Bardzo mi imponowało, że ci nasi studenci byli tacy mężni i się nie bali. W każdym razie trzymali twarz. Czasem pewnie się też bali, bo od czasu do czasu dawało się dostrzec różne podziemne świry, depresje lub manie prześladowcze. Kiedyś poszedłem coś przedyskutować z młodym opozycjonistą do parku, a ten już po pięciu minutach mnie szturcha: – „Widziałeś tę babę z wózką?” – „No, widziałem, a co?” – „Widzisz, jacy cwani – kontynuuje – w wózku leżała duża lalka, a nie dziecko. Na pewno w środku była kamera“. – „Czyś ty porąbany? – pytam – przecież to było dziecko, nawet się ruszało“. – „Stary – nie odpuszczał konspirator – oni teraz mają takie lalki, które się ruszają“. Albo inna sytuacja. Jestem z nim na ogródkach działkowych, a naprzeciwko idzie jakiś dziadek z łopata: – „Patrz, skurwysyn łopatę wziął, żeby go nie rozszyfrować. Nawet ubrudził ją w błocie, żebyśmy się nie zorientowali. Czyli już nas namierzyl“. Trzysta metrów dalej jakaś kobieta okopuje pomidory na swojej działce, a on do mnie: – „Widziałeś, między pomidorami się schowali, fotografują nas“.

Jak widać, niekiedy było śmiesznie, a czasem groźnie. Zdarzało się bowiem i tak, że kogoś pobito lub wyrzucono ze studiów. Czasem



Fot. B. Paciejewska / OPIP

kogoś zmuszono do emigracji. Mnie spotkały tylko dwie przykre przygody: raz w stanie wojennym zgarnęli mnie i sprali ubecy, a raz (nocą na ulicy) zomowcy. To było szalenie upokarzające. Generalnie więc balansowaliśmy pomiędzy działaniami absolutnie na serio, a zatem potencjalnie groźnymi w konsekwencjach, a pewnego typu groteską. Uświadomiłem to sobie w pełni w stanie wojennym, gdy dowiedziałem się, że mam kogoś ważnego dla opozycji gdzieś przewieźć samochodem. Miałem wtedy „malucha“, ale benzyny (bo obowiązywał system kartkowy) było tyle, co kot napłakał. Jednak kiedy człowiek dowiaduje się, że trzeba zrobić coś ważnego dla ojczyzny, to jedzie. Umówiłem się na przejęcie tego ważniaka z Leszkiem Budrewiczem. Najpierw jechaliśmy z pl. Grunwaldzkiego przez dobre pół godziny. Zatrzymaliśmy się, ruszaliśmy gwałtownie i wykonywaliśmy dla zmyłki różne nietypowe manewry. Wreszcie Leszek zniknął, a pojawił się facet z brodą. Na moje oko była przyklejona, bo zupełnie mu nie pasowała. Zwracała uwagę nawet z odległości kilometra. Ale ojczyzna każe, więc jedziemy. Komenderował mną po żołniersku: – „W prawo, w lewo, stać!“ Ale okropnie seplenił, żeby zmienić głos. Czyli ja

go wożę, poświęcam „dla sprawy“ swoją benzynę i ryzykuję, że mi zarekwirują samochód jak nas obu złapią, a on odstawia tani cyrk, kamuflując się przede mną. Jeździliśmy tak po mieście z dobrą godzinę. Nieraz wjeżdżaliśmy w ulice jednokierunkowe, po czym słyszałem komendę: „Teraz stoimy“. No i staliśmy, patrząc w lusterka wsteczne, czy ktoś nas nie śledzi. Potem nagle ruszaliśmy, po paru minutach znów skręciliśmy w inną jednokierunkową. I znów to samo. Mieliliśmy już 300% pewności, że nikt za nami nie jedzie, ale zakonspirowanemu wodzowi ciągle jeszcze było za mało i zarządził szybką jazdę dookoła ronda na pl. Grunwaldzkim, a potem na Powstańców Śląskich. Tak po kilka razy w kółko. Tego dnia pewnie każdy gliniarz i zomowiec musiał zwrócić uwagę na żółty mały samochód z wgniecionym dachem (przebiegł po nim pijak), który jeździł po mieście w te i wewte. Z tego wszystkiego miałem chyba zrozumieć, że wiozę bardzo ważnego działacza. Nie miałem odwagi na niego spojrzeć, bo mógłby pomyśleć, że chcę go zapamiętać.

Wozilem go tak i kombinowałem: kto to może być? Frasyński czy może Bednorz? Na pewno jakiś numer 1. Jak już zwiedziliśmy tą metodą cały Wrocław, pojechaliśmy na Pilczyce pod wysokie



Fot. B. Paciejewska / OPIP

bloki. „Teraz proszę czekać” – powiedział i zniknął. Czekałem szalenie długo. Nie wiem ile, może trzy, może nawet cztery godziny? Pocieszałem się, że pewnie odbywa się jakieś supertajne spotkanie, choć kusiło mnie, żeby odjechać. Ale wreszcie się pojawił. Nie powiedział nawet słowa. Wracaliśmy w analogiczny sposób. Strasznie dużo czasu nam to zajęło. Całą benzynę kartkową zużyłem. Kiedy wysiadał, nawet na mnie nie spojrzął, zapewne żeby zachować tajność, i dopiero znad dachu „malucha” rzucił konspiracyjnym nosowym głosem: – „Dziękuję w imieniu ojczyzny”. Wtedy pomyślałem z rozpaczą: „Jesteśmy w wariatkowie”.

Pamiętam, że odczułem to wszystko, jakbym się znalazł w teatrze Witkacego. Z jednej strony było to niby fajne, takie trochę gombrowiczowskie, ale z drugiej zapaliły mi się w głowie wszystkie lampki: taka konspiracja jest absurdalna, przypomina Drewnianego konia Brandysa, i nie może się dobrze skończyć! Oczywiście tego typu opozycyjna paranoja i totalny bajzel dezorientowały ubecję, do jakiegoś stopnia utrudniając jej penetrowanie podziemnego środowiska, chociaż dziś wiemy, zaglądając w IPN-owskie akta, że jednak rozeznanie miała dość dobre. Przeglądałem pew-

ną ilość akt polskich pisarzy, więc na tej podstawie mogę powiedzieć, że to, co należało wiedzieć, esbecja wiedziała. Asystowała czujnie przy kolebce KOR-u i narodzinach najważniejszych czasopism podziemnych, takich jak „Zapis”, „Puls”. Miała rozpracowane ich redakcje zanim jeszcze wyszedł pierwszy numer. W ich raportach znaleźć można zawartość pierwszych numerów, zanim jeszcze się ukazały. Widziałem na własne oczy! Więc penetracja wrocławskiej opozycji też pewnie była nienajgorsza.

Czasem więc było zabawnie, a czasem mniej. Wiele sytuacji już mi się zaciera w pamięci, ale bardzo dobrze pamiętam, kiedy spotkaliśmy się w kilkoro w mieszkaniu Renaty Otolińskiej przy ul. Bobrzej. Jej samej nie było, była za to Ewa Promna, która z nią wtedy mieszkała. Nagle wtargnęła tam milicja i wzięto nas w kocioł. Szukali, co okazało się potem, Grzegorza Pałki. Zaczęli przewracać mieszkanie, grzebali w książkach, starali się nas przestraszyć lub przynajmniej zdenerwować. Na przykład ubek kładł na stole pistolet i nim kręcił. Zakładaliśmy, że jest zabezpieczony, ale ludzka ręka jest zawodna, a nuż wypali? Może trafi w niego, ale może w nas... Ile razy człowiek czytał o postrzeleniu ludzi na





Fot. B. Paciejewska / OPIP

komisariatach! Kręcił tak, kręcił, ale w końcu się znudził i schował broń. Oczywiście jak tak trzymają człowieka przez kilka godzin, a do małego mieszkania wparowuje z dziesięciu funkcjonariuszy, to człowiek jest zestresowany, bo nie wie, co z tego będzie. Czy nas zabiorą na komendę, internują, czy będą tylko trzymali 48 godzin? W końcu każdy ma jakieś swoje sprawy i zajęcia. Ja na przykład rano muszę jechać do pracy, bo mam ćwiczenia na uniwersytecie. Inni też mają swoje obowiązki. A te bydlaki siedzą i wyciągają z półek podziemne książki, które człowiek kupował sobie za ostatnie grosze.

Na szczęście rozluźniło nas absolutnie niekonwencjonalne zachowanie Waldka Kulwickiego, który nagle oznajmił: – „Aaa, to potrwa, więc pójdę się wykapać” i ruszył do łazienki. – „A pan gdzie?” – pyta dowódca ubeków. – „Jak to gdzie? Do łazienki”. – „A po co?” – „Nooo, będę robił kupę”. – „To ja idę z panem” – oświadcza gliniarz. – „Dobra – mówi Waldek – ja będę się załatwiał, a pan mi siądzie na kolanach. Zaczęliśmy się śmiać i tajniak się zreflektował. – „Dobrze, to ja poczekam, będę siedział pod drzwiami”. – „Niech pan siedzi, gdzie chce, mnie pan nie przeszkadza”. Po jakimś czasie z wnętrza

łazienki dobiegł nas głos: – „A teraz będę się kąpał”. – „Pan się nie może kąpać” – odwarknął tajniak. – „A co? Zwiąże mnie pan czy przykuje do kranu? I słysząc jak Waldek na absolutnym luzie nalewa wodę do wanny, myje zęby i podśpiewuje. Ubek otworzył drzwi, by go mieć na widoku, na co Waldek zdjął majtki i wszedł do wanny. Kąpał się tak dobre pół godziny, bulgotał, napięcie powoli przyszło. Nikt się już nie przejmował ubekami. Rozmawialiśmy o swoich sprawach, traktując ich jak powietrze.

Później tajniacy wzięli nas na komendę, gdzie przesłuchanie trwało całą noc. Przynajmniej tak było w moim przypadku. To już nie było takie zabawne. Najpierw wypytywali mnie o różne sprawy, ale nie mieli zbyt dużo punktów zaczepienia. Na szczęście był to już rok, kiedy ukazała się broszura podziemna Obywatel a Służba Bezpieczeństwa, więc doskonale wiedzieliśmy, jakie są nasze prawa. Wiedzieliśmy, że nie należy się za dużo rozgadywać, o ile w ogóle. Ja nie zastosowałem tego najmądrzejszego wariantu, że należy podać tylko imię i nazwisko, po czym odmówić dalszych zeznań. Póki sprawy krążyły wokół literatury, Miłosza i wykładów, jakoś to jeszcze szło, bo odpowiadałem z udawaną dobrą wolą, choć byle





Fot. Z. Nowak / OPIP

co i nie na temat, ale jak zaczęli pytać o nazwiska i osoby, zrobiło się nieprzyjemnie.

Po latach pamięć przykre rzeczy trochę wybiela, ale pamiętam doskonale moment przesłuchania, gdy ubek mówi mi tak: – „Pan tak siedzi sobie u nas i sobie fajnie rozmawiamy, ale jak pan myśli, gdzie są moi koledzy? Ja na to: – „Nie wiem, skąd mam wiedzieć, pewnie siedzą w mieszkaniu na Bobrzej, co nie ma sensu, bo jest godzina policyjna“. On zaś na to: – „A nieprawda, oni są teraz w mieszkaniu pańskiego tatusia na uli. Zaporoskiej i robią mu kipsisz, a ponieważ tatuś jest ciężko chory na serce, być może nie przetrzyma. Może lepiej, żeby pan był bardziej rozmowny, bo możecie się już nie zobaczyć”.

No, nie był to ciekawy moment, gdyż uświadomiłem sobie, że to nie są żadne żarty, bo ojciec – zdenerwowany – z miejsca dostanie trzepotania przedsionków serca, a jak go nie zawiozą na pogotowie, to może się skończyć fatalnie. Byłem w ciężkim stresie. Z nerwów mnie zatkało, co oni (było dwóch przesłuchujących) wzięli za definitywną odmowę zeznań. Jeden z nich zaszedł mnie od tyłu, złapał za ramiona i odchylił wraz z krzesłem do tyłu, drugi zaś uderzył mnie dwa razy w odsłonięty brzuch (bo nogi przytrzymał

blat biurka). Uprawiałem w młodości boks, więc uderzenie nie jest dla mnie jakąś rewelacją, ale jak cię ktoś nagle unieruchamia, a drugi bije w splot słoneczny, to nie jest walka, ale goła przemoc. A najbardziej nieprzyjemne jest to, że człowiek traci odruch samoobrony i nie broni się tak, jak mógłby się bronić. Jako były pięściarz miałem wyćwiczone odruchy obronne, bo je trenowałem. Wiem, jak oddać, kopnąć, ugryźć. Te odruchy działają automatycznie. Ale wtedy nie zadziałały. Nie broniłem się. To było dla mnie zatem wyjątkowo przykre przeżycie, bo zachowałem się jak policyjna ofiara, straciłem instynkt obronny. Potem patrzyłem na ich zadowolone z siebie mordy i myślałem z goryczą: – „Zachowałeś się jak ofiara, dałeś się zwiktyimizować. A mogłeś przecież przynajmniej jednemu przyrznać w ryja. Nie byłem z siebie zadowolony.

W tamtych latach wszyscy, którzy byli przesłuchiwanymi przez milicję, chętnie opowiadali po wyjściu z komendy, jak sprytnie i bohatersko się zachowali, jak świetnie odpowiadali i jak bardzo byli dzielni. Po tym swoim doświadczeniu, zresztą nie ostatnim w życiu, rozumiałem, że ludzie po przesłuchaniu muszą sobie zrekompensować ten moment strachu, lęku czy upokorzenia



Fot. Z. Nowak / OPIP

opowiadaniem o własnej dzielności. Jak dziś wiemy, nie wszyscy podczas tych przesłuchań zachowywali się najlepiej. Wielu zaś zdecydowanie głupio. Dlatego tym bardziej podziwiam tych młodych SKS-owców, którzy -zastraszani – potrafili rzucić ubekom w twarz: – „Pierdol się, ty kanalio“. Albo po prostu: – „Odmawiam zeznań, niczego nie podpiszę“. Nawet taka zwykła odmowa wymagała charakteru.

Okresu stanu wojennego nie lubię wspominać, bo był wyjątkowo paskudny, zwłaszcza w tej fazie, gdy rzekomo zdejmowano kolejne paragrafy, podczas gdy w rzeczywistości wszystko było po staremu. W mediach królowało bezczelne kłamstwo i cynizm, w telewizji stosowano technikę opluskwania, wyrzucano ludzi z pracy, zastraszano. Panoszyło się chamstwo, konformizm i ubecka mentalność. Często zdarzały się pobicia, a później przyszły nawet skrytobójstwa. Choćby księdza Zycha, Suchowolca czy Popiełuszki. Może dlatego wtedy właśnie zaczęło mi chodzić uporczywie po głowie, że mogą też zrobić krzywdę Tadeuszowi Konwickiemu, którego książki po prostu uwielbiałem. Ubzdurałem sobie więc, żeby się z nim przy magnetofonie i nagrać jego wspomnienia dla celów archiwalnych. Na początku nie myślałem o książce, tylko o tym, żeby

zarejestrować to, co pamięta ze swego niezwyklego i burzliwego życia.

W końcu napisałem do niego list. Tak się szczęśliwie złożyło, że nie był to mój pierwszy list do niego. Kiedy bowiem w 1978 roku miałem gościnnie wykłady w Wilnie, chodziłem ze studentami Instytutu Pedagogicznego śladami bohaterów książek Konwickiego i dokumentowaliśmy te miejsca. Później opisałem mu to nasze podwileńskie wędrowanie, chcąc dać w ten sposób sygnał, że nie jest sam na świecie; że chociaż nie drukują jego książek i nie ma jego nazwiska w encyklopediach, słownikach oraz leksykonach, bo zostało z nich wymiecione przez cenzurę, to jednak ktoś o nim pamięta. – „Na Wileńszczyźnie, gdzie się Pan urodził, są młodzi wariaci, którzy chodzą Pana śladami z Kroniką wypadków miłosnych i Dziurą w niebie pod pachą“ – napisałem, myśląc oczywiście o moich młodych wileńskich przyjaciółach, choć trochę i o sobie. Konwicki odpisał mi wtedy, że bardzo dziękuje za dobre słowa i żałuje, że pewnie nie będziemy mieć okazji więcej się spotkać w życiu, bo właśnie idzie na operację raka krtani i być może już z tego nie wyjdzie. Jak wiadomo, wyszedł i po paru latach mogłem być napisać do niego kolejny list – tym razem z propozycją nagrania jego wspomnień.



Fot. Z. Nowak / OPIP

Umówił się ze mną natychmiast i z miejsca runęliśmy w rozmowy. Rozpoczęliśmy od leśnej wojny, bo chciałem wiedzieć, jak to jest w oddziale partyzanckim, w którym dowódca nagle staje się Panem Bogiem całej okolicy oraz kilkunastu podwładnych, albo gdzie przebiega granica między patriotyczną misją a zwykłym bandytyzmem. Bo przecież kiedy obdarty i wygłodzony oddział wchodzi do nędznej, białoruskiej wsi, to na pewno kobiety nie wychodzą z chlebami i solą, tylko ukrywają co się da, bo przecież wiadomo, że partyzanci zabiorą ostatnią krowę-żywicielkę, zabiją j i zjedzą; że zabiorą chłopu ostatnie buty, a jego nastoletnią córkę zgwałcą. To są obrazy z prozy Kownickiego, więc tego sobie nie wyssałem z palca. Ja chciałem takich opowieści, więc on opowiadał, choć na początku nie bez oporów. Mocno to wszystko przeżywał i właściwie od pierwszego spotkania miałem poczucie, że z naszych rozmów rodzi się szalenie ważny materiał dokumentalny. On zresztą też tak czuł, ale nie musieliśmy sobie tego specjalnie mówić. Czasem po prostu czuję się feeling w rozmowie. Było oczywiste, że będę do niego przyjeżdżać drugi, trzeci, czwarty i piąty raz i będziemy nagrywać, nagrywać i nagrywać.

Gdy dziś to wszystko przywołuję w pamięci, zastanawiam się, jak to było z tajnością tego na-

szego przedsięwzięcia, bo niby z jednej strony nikomu o nim nie opowiadałem, ale z drugiej z samym Konwickim dość jasno gadaliśmy przez telefon. Kiedy dzwoniłem do niego z Wrocławia, zwykle ze swojego gabinetu, nie nazywaliśmy na ogół rzeczy bezpośrednio po imieniu, ale nawet głupi, by się domyślił, bo w naszym instytucie słuchawki często oddychały. Czasem nawet jakiś bezczelny ubek wtrącał się w jakąś rozmowę: – „Długo będziesz tak jeszcze pier...ć”? To na pewno nie był kolega z sąsiedniego gabinetu, z którym dzieliliśmy ten sam numer, bo swoje głosy doskonale znaliśmy. Ktoś zatem z urzędu podsłuchiwał i był znudzony naukowym gadaniem. No więc ubecy zwykle wiedzieli którego dnia i o jakiej godzinie pojawię się w Warszawie na ul. Górskiego. Ale to też nie jest pewne. Poza tym ja o tym jakoś wtedy w ogóle nie myślałem. Jedyny moment, kiedy poczułem napięcie, to pewnego deszczowego dnia, kiedy wchodziłem do bramy domu Konwickiego, a tam w środku, w półmroku na schodach, siedział jakiś „napakowany“ facet, taksując mnie wzrokiem. Było dość oczywiste, że to ubol, z samej gęby było widać. Byłem wtedy pewien, że mnie zwiną, bo w samochodzie przed domem siedziało dwóch, ale jak go minąłem i nic się nie stało, z miejsca zrobiło





Fot. K. Jakubczak

mi się lżej, bo byłem ponad nim i wiedziałem, że mnie już tak łatwo z tej klatki schodowej nie wyciągnie. Jak wspominałem, z grubsza wiedziałem, co w takiej sytuacji zrobić z rękami. Na dole przy drzwiach, by mnie mieli z dwóch stron, będąc u góry miałbym ich wszystkich razem poniżej siebie na wąskiej klatce. To niezła sytuacja. Ale nic się nie stało.

Czasem ktoś mnie chyba „odprowadzał” na dworzec, ale ja wtedy tak byłem zaangażowany w to nagrywanie, że mnie to zupełnie znieczulało. Zresztą wszyscy naokoło konspirowali, niektórzy mieli prawdziwe kłopoty, więc trudno było się przejmować tym, czy ktoś mnie śledzi czy nie. Zresztą ja już byłem po pierwszych inicjacjach: zatrzymanie, przesłuchanie, pobicie, szantaż. Nie byłem już całkiem „zielony”. Brałem czynny udział w wielkich zadymach wrocławskich, które były naprawdę groźne, znajomy prawnik wyjaśnił mi, jak się zachowywać na przesłuchaniach, więc z grubsza byłem przygotowany i na nieprzyjemne warianty. Czasami, idąc do Konwy, widziałem kogoś, kto mi się wyraźnie nie podobał, ale jak już wychodziłem, byłem myślami w innym świecie i nawet się nie rozglądałem, czy ktoś za mną

nie lezie. A zresztą co mi mogli zrobić? Co w tym nienormalnego, że literaturoznawca rozmawia z pisarzem? Niestety to, że mogą mi po prostu zabrać taśmy, jakoś mi do głowy nie przychodziło. A to był gruby błąd.

Te momenty, gdy wychodziłem od Konwickiego były trochę poza rzeczywistością. Kiedy nagrywaliśmy rozdział o wojnie, to pamiętam, że – nie mogąc wytrzymać – odsłuchiwałem rozmowę już w pociągu, bo się bałem, że na taśmie nic nie ma. Miałem uszy czerwone z przejęcia! Tak mi się przynajmniej wydaje. Wiem, że to szczeniackie... Te partie, gdy Konwicki opowiadał o tym, na czym naprawdę polega partyzantka, co się czuje, jak się jest obiektem wielkich obław NKWD, jak się strzela do człowieka, dlaczego broń „odbija” i sama wypala... Dla mnie, chowanego głównie na propagandowej literaturze partyzanckiej, było to coś zupełnie innego, nowa jakość. To było bardzo przejmujące. Zwłaszcza, że Tadeusz wcale o tym tak za bardzo nie chciał opowiadać. Trzeba to było z niego podstępami wywlekać, zachodzić go od boków, podpuszczać. Już po wyłączeniu magnetofonu, po wielu godzinach takiego podstępnego kluczenia,



stęknął: – „No i wreszcie wywłókl pan ze mnie tę wojnę”. Jest to zresztą w książce.

Tak sobie więc gadaliśmy i gadaliśmy z Konwickim, aż pewnego dnia – pamiętam to dokładnie – powiedział do mnie nagle tym swoim słynnym, chrapliwym głosem: „Wie pan, panie Stanisławie, z tego się chyba, kurwa, robi jakaś książka”. Ja nie śmiałem tego wyartykułować, bo sobie zafiksowałem, że tylko nagrywamy, a później co będzie, to będzie. W każdym razie nie spisywałem tych kaset, tylko kładłem je – nawet nie opisując – na półce w swoim wynajmowanym strychu na Oporowie. I tak płynął czas – od nagrania do nagrania. Ponieważ miałem u siebie sporo podziemnej bibuły, za co wtedy internowali czyli wsadzali do pudła, czasem chodziło mi po głowie, że ubecja może wtargnąć do mnie i zabrać mi te kasy. Wprawdzie nie bardzo w to tak naprawdę wierzyłem, ale na wszelki wypadek tak nagrywałem te kasy, że zawsze pierwsze dwie i ostatnie dwie minuty zajmowała muzyka klasyczna. Specjalnie szukałem smętnej i żałobnej. Całą resztę oczywiście zagrywałem rozmowami. Taki naiwny, dziecinny patient. Dziś sam się zdumiewam swoją głupotą.

Ale proszę sobie wyobrazić, że pewnego dnia stało się: przyszli ubecy i wywalili drzwi od mojego pokoju na poddaszu, bo gospodyni nie bardzo chciała im otworzyć, czując pismo nosem. No i bibułę pozabierali, książki podziemne wzięli, ale kaset nie zarekwirowali, bo brali je po kolei i wkładali do magnetofonu, a z głośników waliła albo *Lacrimosa* albo *Dies irae*. – „Co ten idiota słucha” – komentowali, wrzucając kolejne. Puszczali początek, a potem, słysząc, że to tylko muzyka poważna, odwracali kasetę na drugą stronę, ale tam też była muzyka. Tak oto ich lenistwo mnie ocaliło. Kiedy tydzień później, po różnych perypetiach szpitalno-przesłuchaniowych wróciłem do domu, z miejsca pomyślałem sobie, że te nagrania nie mogą już czekać ani minuty dłużej, bo przepadną, więc należy je spisać oraz zrobić kopię na innym nośniku. Wiedziałem już, że to ostatnie ostrzeżenie losu i następnego nie będzie.

Kiedy już spisałem i autoryzowałem nasze rozmowy, ustaliliśmy, że oddamy tę książkę do

podziemia. Tadeusz Konwicki podniosłem tonem powiedział: – „Panie Stanisławie, ale jakiś pseudonim trzeba panu wymyślić, bo pana wyjebią z uniwersytetu”. Stało, że Nowicki, bo to najbardziej powszechne nazwisko po Kowalskim czy Jaworskim. Dodałem własne imię, bo trudno, żeby Konwicki mówił do mnie na kartach tej książki: „Panie Józefie” albo „Panie Henryku”. Kiedy ukazała się jednocześnie w podziemnym „Przedświcie” i londyńskim „Aneksie”, wydawało się, że jest supertajna. Ale trzeba pamiętać, że środowisko podziemne było najbardziej plotkarskie na świecie. Jeśli coś się zdarzyło na jednym końcu Polski, na drugim tego samego dnia jeszcze wiadano. Cała opozycja wiedziała, kto z kim sypia lub pije, kto kogo z kim zdradza, kto wpadł, upił się lub zabalował, kto ile sobie zębów wybił lub ile wypił piw. Więc doskonale wiedziałem, że jak będę się zwierzał na prawo i lewo, w największej oczywiście tajemnicy, że opracowałem tę książkę, to moja słodka tajemnica z miejsca stanie się tajemnicą poliszynela.

Wywóz maszynopisu do londyńskiego „Aneksu” załatwił sam Konwicki, bo miał jakiś swój układ ze Smolarami, natomiast druk podziemny w „Przedświcie” nagrał mój przyjaciel Piotr Mitzner. I przyszedł ten zabawny dzień, kiedy miałem zawieźć maszynopis do autoryzacji i wydawnictwa. Jechaliśmy z moją dziewczyną z Wrocławia do Warszawy „maluchem”, który się wiecznie psuł, a na dodatek nie miałem kartek na benzynę, bo na coś zmarnowałem. Mam wrażenie, że na to wożenie po Wrocławiu bossa podziemia.

Więc jedziemy z Moniką patriotycznie, a tu łubudubu... i samochód się psuje. Ciągłe to robił, więc nic dziwnego, ale wtedy stało się coś wręcz niemożliwego: wytopiło się łożysko w przednim kole! Samochodem zaczęło rzucać i telepać, a jak go szczęśliwie zatrzymałem, okazało się, że oś jest przyspawana do koła... Po prostu kulki w łożysku się wytopiły, metal zastygł i łożysko się zespawało. Katastrofa kompletna: środek drogi, ślimaczący się (rzekomo odwołany) stan wojenny, żadnego warsztatu ani mechanika w okolicy,

poza tym, gdzie kupić części. Pamiętam jak pożyczoną piłką do metalu odpiłowywałem koło od samochodu, żeby z nim gdzieś pojechać. Było jasne, że czeka nas noc albo i kilka w samochodzie na poboczu. Wystarczy żeby się jakiś wóz milicyjny zatrzymał, a funkcjonariusz zagadał: – „A pokażcie, no, obywatelu, co tam macie w środku“. No, nie daj Boże, bo w środku te papiery...

Zostałem więc z tym samochodem przy rowie, a maszynopis dałem Monice i wyprawilem ją do Warszawy do Konwickiego. Nie było innego pomysłu. Pojechała okazją tekst oddała, załatwiła co trzeba, a przede wszystkim przyszyła mu guzik – bo zobaczyła, że ma urwany – co spowodowało, że bardzo sobie wzajemnie przypadli do gustu. Do dziś, ilekroć widzę się lub rozmawiam z Tadeuszem, z miejsca o nią pyta.

Jak wspominałem, nikomu nie powiedziałem, że pracuję nad tą książką. Nikomu się nie zwierzałem, bo uważałem, że nie trzeba. Poza moją ówczesną dziewczyną – dzisiaj żoną – nikt nie wiedział, że rozmawiam z Konwickim. To był czas tak pełen napięć politycznych, a środowisko polonistyczne tak ostro konspirowało, że każdy miał jakieś swoje tajemnicze sprawy. Każdy robił najważniejszą rzecz na świecie. Zresztą byłbym kompletnym idiotą, gdybym jeszcze latał po ludziach i opowiadał co robię. Tą metodą raz dwa dotarłoby to do esbecji, bo plotkarstwa – jak wspominałem – było wśród nas co niemiara (dziś wiem, że i agentów bardzo blisko mnie nie brakowało – i wśród pracowników, i wśród zaprzyjaźnionych studentów) i na pewno by mi zabrano z ręki zabawki. Na przykład internowano. Do tego nie potrzeba było żadnej specjalnej sankcji. Wtedy bym na pewno książki nie skończył. Więc w moim najlepszym interesie było nikomu nic nie mówić. W opozycji można się było dowiedzieć praktycznie wszystkiego. Nawet w stanie wojennym, gdybym musiał znaleźć we Wrocławiu ukrywającego się Frasyniuka lub Bednorza, znalazłbym ich bez trudu. Kiedy potrzebowałem skontaktować się z poszukiwanym listem gończym Leszkiem Budrewiczem, zajęło mi to może godzinę. Nie żartuję.

Ta metoda zasznurowanych ust bardzo dobrze się zresztą sprawdziła, bo bardzo długo po

wydaniu książki nie było wiadomo, kto to jest Nowicki. Pierwszy lapnął sam Konwicki na jakimś spotkaniu z opozycjonistami we Wrocławiu, co było zabawne, bo sam mnie do tego pseudonimu z troskliwości o moją przyszłość namawiał. Od tego momentu już się trochę rozeszło. Ale i tak nie wszyscy wiedzieli. Czasem ktoś próbował mnie przypierać do ściany: – „No przyznaj się stary, Nowicki to ty“? Bardzo mnie to złościło, bo miało w sobie coś ubeckiego. Więc na ogół szedłem w zaparte. Choć moi najbliżsi przyjaciele mnie rozpoznali. Miałem dwie zabawne sytuacje. Renata Otolińska, z którą przyjaźnimy się już ze 30 lat, powiedziała do mnie kiedyś, ni stąd, ni zowąd: – „Staszku, właśnie przeczytałam twoje rozmowy z Konwickim“. I patrzyła mi uważnie w oczy. Trudno się było wypierać. Z innymi szedłem w zaparte, choć niejedyn próbował mnie podpuszczać, ale tu nie było po co. Ona miała pewność. – „Stasiu przecież on mówi twoim językiem, to są twoje zwroty i sformułowania. Trudno mieć wątpliwości“. Potem to samo powtórzyło się z Piotrem Siemionem, dziś już znanym pisarzem, wówczas jeszcze studentem anglistyki. Któregoś dnia graliśmy w piłkę na Oporowie, bo on tam stale siedział u swojej dziewczyny, gdy nagle wypalił: – „Wiesz, czytam zabawną książkę. Facet gada z Konwickim i robi sobie z niego jaja. Trochę tak, jak ty“. I patrzy mi drwiąco w oczy. Oczywiście wyczuł mnie swoim literackim nosem jak pies. Nie zaprzeczałem ani nie potwierdzałem, tylko zacząłem się śmiać.

Kiedy i na ile to się rozeszło, nie wiem. Nawet jeżeli ubecy nie wiedzieli, że Nowicki to Beres, to w środowisku polonistycznym po jakimś czasie już z grubsza wiedziano. Na przykład czytając recenzję Balcerzana w podziemiu, odnosiłem wrażenie, że on wie, o kim pisze, mimo że się osobiście nie znamy. To środowisko się bowiem zna, przynajmniej z czytania, bo nie jest w końcu takie wielkie, a plotki z podziemia skwapliwie sobie przekazywano z ust do ust.

Wielu ludziom, gdy już było mniej więcej wiadomo, kto się ukrywa pod pseudonimem Nowicki, wyraźnie to przeszkadzało. Ich diabeł kusił, żeby wszędzie się rozeszło, że to ja. Ale nie po to, żeby mi dać order. Wręcz przeciwnie! Ja uważałem, że jak się już raz wydało książkę pod pseudonimem,

to tak ma zostać. Skoro nie miałem dość charakteru, by zaryzykować pod własnym nazwiskiem, to nie należało robić później gestów bohaterskich. Dlatego więc irytowała mnie ta lawina ujawnień się w „Tygodniku Powszechnym”, gdy już nikt nikogo za to nie wyrzucał z pracy i nie wprowadzał imiennych zapisów cenzury. Nigdy tego nie zrobiłem i wszystkie kolejne wydania ukazywały się pod pseudonimem. Dopiero ostatnie, z 2003 roku, nosiło moje nazwisko.

Rzecz jednak ciekawa: już przed końcem lat 80. niektórzy moi koledzy odgrywali rodzaj teatru, dość dla mnie przykrego, że oto ja ze strachu o swoją skórę ciągle się jeszcze ukrywam. Nikt nie zrozumiał, że to była moja forma pokuty. Jeden z moich przyjaciół, gdzieś na początku lat 90. opublikował nawet tekst w nowojorskim piśmie emigracyjnym, w którym „tłumaczył mi” w efektywnej apostrofie, że już nie muszę się ukrywać i mogę się przyznać do tego, że Nowicki to ja. Bardzo mnie to dotknęło, bo on doskonale wiedział, dlaczego nie „ujawniałem się” w „Tygodniku”, ponieważ mu to w liście jasno wyłożyłem. On jednak dalej kontynuował ten teatr. Dziś już wiem, co znaczyły te gesty: ci, którzy nie publikowali w podziemiu, mieli z tego powodu jakiś dyskomfort albo odczuwali zazdrość, więc w ten sposób kompensowali sobie to złe samopoczucie. Niestety to się odbywało poprzez dyskredytację czystych motywacji tych, którzy publikowali w drugim obiegu albo na emigracji. Doświadczyłem tego tak wiele razy, że trudno tu mówić o przypadku. Ale ponieważ mój przyjaciel już nie żyje, niech mu ziemia lekka będzie. Z kolei inni mnie aż tak bardzo nie obchodzą. Niemniej to było dość niesympatyczne.

Pół wieku czyścica czyli rozmowy z Konwickim stały się ważną książką podziemną, a także najważniejszym obok sylw autokomentarzem pisarza-reżysera. Ta książka miała pięć wydań: najpierw równoczesną w podziemiu i w londyńskim wydawnictwie „Aneks”, a zanim to się stało, jakąś nieznaną mi drogą dotarła do Wolnej Europy, gdzie była czytana co tydzień w odcinkach, co nakręciło zainteresowanie. Później przyszły kolejne wydania: w Wydawnictwie Interim i po upadku komunizmu w Wydawnictwie Literackim. Było

też wcześniejsze wydanie francuskie w Noir sur Blanc. Przygotowywano też wydanie angielskie, ale z jakiegoś powodu nie doszło do skutku, nawet nie wiem, dlaczego. Można więc powiedzieć, że ta książka trafiła na swój czas. W życiu akademickiego polonisty takie cuda w ogóle się nie zdarzają.

Te rozmowy stały się oczywiście także czymś bardzo ważnym w moim życiu, ponieważ zmieniły moją pozycję w środowisku naukowo-literackim. Przypuszczam, że dzięki niej zostałem przeniesiony do innej kategorii. „To nasz człowiek” – uznano. Środowisko polonistyczne nigdy nie było silnie zindoktrynowane, lecz raczej zorientowane opozycyjnie, co oznaczało rodzaj salonu. A do salonu trzeba być wprowadzonym. Na przykład dla Giedroycia, Smolarów, Romanowiczów, Toruńczyk czy Wierzbiańskiego bez wątpienia byłem bardziej wiarygodny i ciekawy jako autor rozmów z Konwickim niż jako autor naukowych monografii o Żagarach lub Gajcym. Oczywiście, kiedy wysyłałem do paryskiej „Kultury”, pierwszą recenzję czy szkic (już nie pamiętam, co było pierwsze) podpisałem: „Stanisław Nowicki”. Jestem pewien, że Redaktor z miejsca wsunął mnie w odpowiednią szufladę, bo już po trzecim wydrukowanym u niego tekście napisał: „Może by pan tak do mnie wpadł i pogadał jak człowiek?” Jasne, że natychmiast pojechałem, bo mieszkalem wtedy we Francji, o czym Giedroyc skądś doskonale wiedział. Przypuszczalnie, bez wydanych rozmów z Konwickim, nigdy by się to nie zdarzyło. Z kolei znajomość z Giedroyciem otwierała mi pewnie następne drzwi, choć ja o tym niczego nie wiedziałem. Po prostu pewne rzeczy działy się już samoczynnie. Czułem, że zaliczono mnie do „towarzystwa”.

Nie wykluczam też, że program o literaturze, który od wielu już lat prowadzę w drugim programie telewizji publicznej też ma jakiś związek z rozmowami z Konwickim oraz z Lemem. Ktoś tam widać uznał, że nadają się do rozmawiania z pisarzami. Nigdy wcześniej takiej propozycji nie otrzymałem. Może to przypadek, a może nie. Ale raczej ktoś uznał, że jeśli poradziłem sobie z Lemem i Konwickim, to i dam sobie radę z innymi przed kamerą. I trwa to już dokładnie czternaście lat.



Fot. J. Woźny / OPIP

## Aleksander Gleichgewicht

Klimat polityczny w domu był zdecydowanie antykomunistyczny. Ucho przy Wolnej Europie, czy przy bardziej w Rosji popularnym Głosie Amieriki. Kiedyś o mało nie zadenuncjowałem ojca. Miałem niecałe trzy lata, przyszedł do nas jego znajomy, a ja spytałem po rosyjsku „Papa, siewodnia budiem słuszać Głos Amieriki?”. Ojciec zzieleniał, a jego znajomy się roześmiał. (...) Poza tym nasz dom siłą rzeczy stał się – może nie ażylem - ale przystankiem dla ludzi, którzy wracali z Rosji. Byli to często ludzie, którzy dopiero wyszli z obozów na fali amnestii w ZSRR. Jeszcze wtedy nie używało się słowa „gułag”, ale wspomnienia z łagrów otaczały mnie od dzieciństwa. To budowało niechęć do komuny. Do tego doszło polskie doświadczenie: AK, Katyń.

To, co później nazywano bibułą, głównie książki przemykane z Zachodu, czytałem już w liceum, słuchałem też Wolnej Europy. Gdy miałem 15 lat, byłem opozycyjnie nastawiony do rzeczywistości, co nie znaczy, że wtedy planowałem jakieś działania, czy wierzyłem, że w perspektywie mojego życia system się zmieni. Oczywiście, były rozmowy, na przykład w klasie z kolegami o Katyniu mówiło się otwarcie. Były debaty polityczne, dowcipy, chodzenie na religię, niezależnie od tego, czy się wierzyło w Boga, czy nie. Już wtedy w szkole dawałem się zauważyć jako ten, który otwarcie daje nawet wyraz swoim poglądom.

Zaangażowanie przychodziło stopniowo. Najpierw malowanie napisów czy zaznaczanie na



mapie Syberii we wszystkich atlasach w klasie nazwy Katyń. Nam się wtedy wydawało, że Katyń musi być na Syberii.

Na pewno można wskazać cezurę, moment, w którym człowiek przekracza Rubikon. Czym innym jest robić anonimowo i po cichu napisy tużem w toalecie miejskiej, a czym innym działać jawnie, podpisując się imieniem i nazwiskiem. To się wiąże z konkretnym zagrożeniem, a co za tym idzie, pogodzeniem się z możliwymi konsekwencjami. Ja i wielu innych mieliśmy już przygotowanego „gotowca”. Wcześniej był rok '68, '70, '76. Ówczesne wydarzenia zrobiły wielkie wrażenie, wielu odarły z ostatnich złudzeń co do tego systemu. Mnie nie trzeba było obdzierać, bo ja złudzeń nigdy nie miałem, ale na pewno rok siedemdziesiąty szósty to było przełamanie pewnego progum niemożności. Teraz byśmy powiedzieli, początek społeczeństwa obywatelskiego. Pomysł Kuronia – nie palimy komitetów, a je budujemy, czyli KOR, krótko mówiąc. Każdy miał jakieś kontakty – zarówno znajomi ojca, jak i moi koledzy ze studiów. Gdzieś zaczęto zbierać pieniądze, trzeba było wiedzieć, komu je przekazać. Środowiska dotychczas atomizowane, powiedzmy, takie wysepki oporu wśród studentów, także duszpasterstwo akademickie, Klub Inteligencji Katolickiej, Towarzystwo Przyjaźni Polsko-Indyjskiej, ludzie doświadczeni w swojej kontestacji, ale też hipisi, jak byśmy dzisiaj powiedzieli może niezbyt precyzyjnie, anarchiści, trockiści - wszyscy ci ludzie zaczęli się spotykać. Mieliśmy szczęście, że już wcześniej był Kuroń, Lityński, Michnik i oczywiście wielu innych. Oni stworzyli model działania.

Dla mojego środowiska drugim impulsem, który przyspieszył mobilizację i włączenie się w główny wówczas nurt opozycyjny, był krakowski SKS, ale też ludzie z kręgu krakowskich „oświeconych” katolików, takich jak Bogusław Sonik. W siedemdziesiątym szóstym zbieraliśmy pieniądze dla robotników w Radomiu i w Ursusie. Pierwszym wydarzeniem, w które byłem zaangażowany, była msza za duszę Staszka Pyjasa, klepsydry, zachęcanie ludzi, żeby w niej uczestniczyli.

To był rok '77. Już wtedy mieliśmy kontakty z SKS-em w Krakowie. Zaczęliśmy pomocnicze działania: z ducha romantyczne, ale w praktyce

bardzo pozytywistyczne. To był zwłaszcza kolportaż bibuły.

Wracając do możliwych konsekwencji... Pierwszym przejawem zainteresowania moją skromną osobą ze strony organów bezpieczeństwa była odmowa przyznania paszportu w 1977 r. W '76 jeszcze paszport dostałem, a rok później już nie. Chciałem jechać do Indii i do Afganistanu. W grudniu '77 nie byłem, co prawda, rzecznikiem SKS-u, ale przy wielu okazjach występowałem „z otwartą przyłbicą”. I wtedy pojawiło się oczekiwanie: niech wreszcie ONI się pojawią. A tutaj mija miesiąc, mijają dwa i nic. Czekałem, byłem przygotowany, obkuty. Była taka broszura Obywatel a służba bezpieczeństwa, która instruowała, jak się zachować na pierwszym przesłuchaniu, jak odmawiać odpowiedzi, jak podpisów itd. W moim przypadku to zadziałało, chociaż sprawę, w której miałem zeznawać przedstawiono mi jako niepolityczną i to utrudniło mi początkowo odpowiednie zachowanie, ale poradziłem sobie. Jestem dumny z tego, co potwierdzają wszystkie dokumenty, że zawsze odmawiałem odpowiedzi i później odmawiałem podpisu pod protokołem, w którym było napisane, że odmawiam odpowiedzi. Jak się okazało, to w sumie nie było żadne bohaterstwo, a bardzo bezpieczna, dobra polityka. Jestem wdzięczny panu mecenasowi Janowi Olszewskiemu, którego poglądów zresztą nie podzielałem, za to, że napisał broszurkę dla takich ludzi jak ja.

Co bywało powodem zainteresowania ze strony organów bezpieczeństwa? W moim przypadku rutynowa działalność w ramach studenckiego ruchu Solidarności. Później dołączyłem do nowego ugrupowania – Klubu Samoobrony Społecznej. Byli tam między innymi: Wilk, Turkowski, na początku Waszkiewicz i Morawiecki, którzy później się usamodzielnili, tworząc środowisko Biuletynu Dolnośląskiego. To był taki szczególny ruch o charakterze, powiedziałbym, sieciowym, co utrudniało walkę z nim. Co z tego, że SB wiedziało wszystko o wszystkich, jeżeli nie było tam centrów dowodzenia, w które można uderzyć. Ludzie w grupkach przy piwie podejmowali pewne decyzje dotyczące pewnych działań czy akcji. Oczywiście, taki ruch, nawet jeżeli jest inwigilowany, nie jest do końca kontrolowany.

Moje działania były dosyć chaotyczne. Dużo różnych drobnych działań. Akcje ulotkowe w sprawie więzionych Czechów, nadal oczywiście kolportaż, później wspólne organizowanie wykładów Towarzystwa Kół Naukowych, tzw. „latające uniwersytety”. Ważną częścią w mojej działalności była współpraca z państwem Zofią i Zbigniewem Romaszewskimi w ramach prac Biura Interwencyjnego KSS KOR. Wtedy poznałem Lecha Adamczyka, znanego adwokata związanego z Solidarnością.

Potem nadszedł rok '80 i wszystko się nagle zmieniło.

Solidarność jest w pewnym sensie spełnieniem postulatów Kuronia o samoorganizowaniu się społeczeństwa. To tutaj, we Wrocławiu, udało się nam rzecz wyjątkowa, bo opozycja była obecna we wszystkich mediach: wydawnictwa, broszury, Radio Solidarność, którego byłem szefem, to wszystko zachowało ciągłość i także po grudniu '81.

Trzynastego grudnia 1981 r. byłem w Warszawie, gdzie pojechałem rozliczać się ze swoich długów wobec wydawnictwa 3 Maja i zawiozłem im 36 tysięcy złotych. Oddałem je na dwie godziny przed wprowadzeniem stanu wojennego. Zdążyłem oddać pieniądze ówczesnemu mężowi Antoniny Krzysztoń. Byłem właśnie w ich mieszkaniu w Warszawie na Pradze, gdy w nocy, nagle - łomot do drzwi. Nie bardzo wiedzieliśmy, co się dzieje, spytaliśmy, o co chodzi, bo przez szesnaście miesięcy raczej nie było takich praktyk. „Proszę włączyć telewizor”, odpowiedzieli. Myśmy ten telewizor włączyli, wysłuchaliśmy słynnego przemówienia generała. Mówimy im, że w takim razie nie otworzymy. No i oni odpuścili, zostawiając w drzwiach kartkę, że gospodarz ma się zgłosić tam i tam. On oczywiście był na liście internowanych. Zaczęło się planowanie, co robić. Byłem tam ze swoją żoną, z małym synem. Pierwsza myśl była taka, że natychmiast się chowamy gdzieś u siostr zakonnych. Później rozważaliśmy skorzystanie z „bazy noclegowej” warszawskiej opozycji. Jednak ostatecznie uznałem, że to jest chyba bezsensowny plan i że trzeba wracać do Wrocławia.

Trzynastego grudnia pozwolono ludziom, którzy znaleźli się w momencie ogłoszenia stanu

wojennego poza miejscem zamieszkania, wrócić. W związku z tym wieczorem spokojnie poszedłem na dworzec. Było tam pełno ludzi, którzy wracali do Krakowa, do Gdańska, do innych miast. Przerwano wtedy Kongres Kultury Polskiej, więc spotkałem masę znajomych. To był wesoły pociąg. Wszyscy byli bardzo dobrej myśli, byliśmy przekonani, że w poniedziałek wszystko wróci do normy, że Jaruzelski po prostu się opamięta. We Wrocławiu nie poszedłem nocować do domu, tylko do swoich przyjaciół, znanych we Wrocławiu państwa Wojciechowskich, prowadzących galerię Opus. Morawiecki też się u nich chował. Postanowiłem się tam zadekować, a moja żona miała rozeznaczyć się w sytuacji. Plotki krążyły straszne, mówiono nawet, że niektórzy znajomi nie żyją. Piętnastego wróciłem do domu, żeby o świcie ruszyć z plecakiem na Politechnikę, ale o szóstej wpadła już banda panów z bronią krótką i mnie wygarnęła. Okazało się zresztą, że mnie nie szukali. To było wynajęte mieszkanie, w którym wcześniej mieszkał dziennikarz, Tomasz Orlicz i to jego chyba szukali, nie mnie, ale jakoś wpadłem. No i trafiłem na Kleczkowską. Tak zaczęły się moje peregrynacje. W sumie przez rok włóczyłem się po różnych obozach internowanych. Jak wielu innych dotarłem do Grodkowa. Później pewną grupę ludzi, chyba głównych agitatorów z Grodkowa i z Nysy, oddzielono. Był koniec stycznia. Trafiiliśmy do nieprzyjemnego miejsca, do Strzelec Opolskich, gdzie spotkaliśmy internowanych z Katowic. Nie było wesoło. Zostałem tam do marca, a później przeniesiono nas w Bieszczady, potem do Rzeszowa – Załęża. Później byłem w Kielcach, następnie znowu w Rzeszowie, potem znowu w Kielcach. Wyszedłem bodaj 3 grudnia '82.

Był z nami, internowanymi, kłopot formalno-prawny: był stan wojenny, a internowani to jest kategoria związana z wojną. Pieczę nad nami miał więc Międzynarodowy Czerwony Krzyż. Nie podlegaliśmy za to regulaminowi więziennemu. Nie wiadomo było, jak nas traktować. Było bardzo różnie w różnych miejscach. W Strzelcach Opolskich było ostro, tradycja tego miejsca jest ponura, jeszcze z czasów stalinowskich, nawet karcer był tam stosowany. Ale nie było wypadków, przynajmniej w mojej „karierze”, regularnego „łomotu”.



Fot. K. Jakubczak

Po wyjściu na wolność wróciłem do działalności – siłą rzeczy dosyć zmodyfikowanej. Po pierwsze, już była konspiracja. Byłem człowiekiem namierzonym, „na widelcu”, pod kontrolą, pod stałą inwigilacją. Mogłem ewentualnie przejść do pełnego podziemia, ukrywać się. Ale to nie było takie proste, choćby ze względów logistycznych – nie było wystarczająco dużo lokali. Poza tym, kiedy wyszedłem, moje dzieci były małe. Siłą rzeczy miałem ograniczone możliwości. Byłem redaktorem w czasopiśmie *Solidarność Dolnośląska*, które było przyporządkowane, o czym wtedy nie

wiedziałem, *Solidarności Walczącej*. Tam pisałem pod pseudonimem „Sokołowski”. Bardziej towarzysko, bo to były bardzo zakonspirowane sprawy, byłem związany z kolegami z *Radia Solidarność*. Współpracowałem z ludźmi Romaszewskiego. Wtedy to się już nie nazywało Biurem Interwencyjnym KOR, KOR-u już nie było. Był to – jeszcze nielegalny – Komitet Helsiński, który zbierał materiały do tak zwanej Białej Księgi na konferencję KBWE w Madrycie, gdzie był przygotowywany wielki raport o łamaniu praw człowieka.



Fot. J. Woźny / OPIP

### Piotr Maciejewski

W roku osiemdziesiątym byłem uczniem liceum ogólnokształcącego w Wieruszowie. Tak się złożyło, że mój kuzyn studiował we Wrocławiu na polonistycie i był jednym z założycieli NZS-u. Więc w sposób niemal naturalny włączyłem się w jego nieoficjalną działalność. Bardzo szybko „wylądowałem” w okolicach tak zwanego Uczniowskiego Komitetu Odnowy Społecznej przy Liceum Ogólnokształcącym nr III, przy ul. Składowej we Wrocławiu. Dzisiaj z tego grona najbardziej znani są chyba Benek Afeltowicz czy Piotrek Osiński.

Mieszkałem w małej miejscowości, bo Wieruszów, przy całym szacunku, to powiatowe miasto, ośmiotysięczna miejscina, w której prowadzenie jakiegokolwiek działalności poza oficjalnymi struk-

turami było bardzo trudne. Miałem duszę społecznika, w drugiej klasie zostałem wybrany w wolnych wyborach na szefa samorządu szkolnego. To był okres strajków w prawie krzyży we Włoszczowej, okres kontestacji HSPS, czyli Harcerskiej Służby Polsce Socjalistycznej i podobnych akcji. Budowało się nowe harcerstwo i w ogóle nowe organizacje. Każda wizyta we Wrocławiu to był dla mnie powiew innego świata. Na Składowej, w LO nr III, ukazywało się pismo, bodajże Ukosik, o ile dobrze pamiętam. To było pismo Uczniowskiego Komitetu Odnowy Społecznej. Kolportowałem je u siebie i jeszcze na Śląsku, gdzie miałem znajomych z ruchu oazowego, którzy w ogóle nie mieli dostępu do jakiegokolwiek tego typu „literatury”.



Po maturze podjąłem decyzję, żeby zdawać na historię, co było dość charakterystyczne dla ludzi z mojego rocznika. Gdyby to był inny czas, gdyby nie było stanu wojennego, byłbym pewnie prawnikiem, jak wielu moich kolegów. Ale historia była wtedy kierunkiem bardzo popularnym. Jeśli popatrzymy na biografie wielu obecnych polityków czy biznesmenów, którzy na początku lat osiemdziesiątych zdawali maturę, to zobaczymy, że jako pierwszy kierunek studiów wybierali często historię. Więc w Instytucie Historycznym Uniwersytetu Wrocławskiego, przy ul. Szewskiej 49, spotkała się wyjątkowa grupa ludzi, co miało znaczenie także w przyszłości. Bo, jakby nie patrzeć, dwóch ministrów spraw wewnętrznych, czy jeden wicepremier, to Szewska 49. Świętej pamięci Władek Stasiak był w '88 roku szefem ochrony podczas strajku, którym kierował Grzegorz Schetyna.

Kiedy zaczynaliśmy, nie było żadnego samorządu studenckiego. Postanowiliśmy go więc zbudować. Rozpoczęliśmy od samorządu mieszkańców domów studenckich. Mieszkałem w Parawanowcu i dość szybko zostałem szefem akademika. Notabene, dzięki temu miałem dodatkowy pokój, do którego klucz miał także, Mieczysław „Ducin” Piotrowski i jeszcze chyba jedna osoba. W tym pokoju mogliśmy przechowywać niezależne wydawnictwa.

I tu dochodzimy do drugiej formy mojej działalności – kolportażu wydawnictw podziemnych.

Jeżeli się ma dziewiętnaście czy dwadzieścia lat i nie godzi się na zastaną rzeczywistość i jeżeli człowiek studiuje taki kierunek, jak historia i spotyka ludzi, którzy uważają, że ten świat może wyglądać inaczej, to robi wszystko, co może, by go zmienić. Ryzyko było wkalkulowane. Kolportowałem chyba większość wydawnictw podziemnych w kraju. Pewnie niewiele jest takich, które nie przeszły przez moje ręce. Jak kiedyś powiedział Adolf Juzwenko, obecny dyrektor Ossolineum, miałem chyba najwięcej nielegalnych książek różnego rodzaju we Wrocławiu.

Współpracowałem wtedy z Antkiem Wojtowiczem, założycielem Spółdzielni Wydawniczej Profil i z drukarzami Antkiem Roszakiem i Krzychem Gulbinowiczem. Antek Roszak był najstarszym drukarzem, o najdłuższym stażu. Krzychu

Gulbinowicz był jego uczniem. Obaj z artystycznymi duszami, bo Antek Roszak – poeta, Krzychu Gulbinowicz – pisarz. Drukarnia działała przez długi czas pod Szczepanowem koło Środy Śląskiej. Antek i Krzychu gotowali „mocioł”. „Mocioł” to kompot truskawkowy lub czereśniowy, który się otwierało i do środka dolewało się wina czy czegoś mocniejszego. Antek i Krzysiek mieli taki litrowy albo półtoralitrowy słoik. I w trakcie pracy zawartość powolutku, pomalutku znikiała. Zresztą, atmosfera była ciężka: wyobraźmy sobie, że jest trzech czy czterech facetów, którzy przez tydzień albo dwa siedzą razem zamknięci i praktycznie nie wychodzą. A jeszcze do tego świadomość ogromnego ryzyka, zwłaszcza, że jedna nasza drukarnia „wpadła” i nie mogliśmy sobie pozwolić, aby to samo spotkało drugą. Oni starali się nawet nie pokazywać na wsi, bo byli obcy. I to się udawało. W ten sposób funkcjonowała większość nielegalnych drukarni.

Sprawy związane z kolportażem starałem się prowadzić bardzo ostrożnie, żeby możliwie zminimalizować poziom ryzyka. Czasami miałem do rozprowadzenia ponad tysiąc egzemplarzy jednego tytułu. Oczywiście, nie mogłem tego kolportować sam. Miałem grupę osób, która ze mną współpracowała. Mniej więcej ustalaliśmy, kto w jakim czasie przychodzi i odbiera po dwadzieścia, trzydzieści egzemplarzy danego tytułu. Mieliśmy pewien wpływ na politykę programową Profilu, który wydawał m.in. książki historyczne. Natomiast inne wydawnictwa publikowały też książki ekonomiczne. Wtedy ukazała się w drugim obiegu większość książek o liberalnej ekonomii, które praktycznie nie były dostępne w języku polskim. Do tego dochodził tygodnik Mazowsze. Był bardzo dobrze robiony, zresztą drukowany na Dolnym Śląsku. Dalej biuletyny informacyjne SW, NZS, a także Przegląd wiadomości agencyjnych – pierwszy „tabloid” w podziemiu. To była normalna kartka A4, ale ze zdjęciami.

Bibułę woziliśmy po całym kraju. Często jeździło się do Warszawy. Najczęściej jechaliśmy z kolegą lub z bratem, czasami z przyszłą żoną, bo pary budziły mniej podejrzeń. Najważniejsza była odpowiednia torba czy plecak, żeby można było tych „kilogramów”, czyli książek drukowanych na

Dolnym Śląsku, jak najwięcej przerwucić. Nocny pociąg, wagon sypialny, na dworzec w ostatniej chwili. Rano Dworzec Centralny. Stamtąd okrężną drogą, bo nie mogliśmy dojechać wprost do punktu A, B, C lub D. Z odbiorcami umawialiśmy się wcześniej telefonicznie. Tak się szczęśliwie złożyło, że miałem „kontakt” w dyrekcji PKP w Warszawie, więc bardzo często korzystałem z wewnętrznej, kolejowej sieci telefonicznej. Na miejscu odbiorcy czekali na mnie ze swoją porcją wydawnictw, bibuły, znaczków. I wracaliśmy z powrotem, ekspresem „Odra” najczęściej. To było potencjalnie niebezpieczne, ponieważ były tam otwarte przedziały. Pamiętam kilka takich sytuacji, że o mały włos, o mały włos... Raz czy dwa kolejarz był bardzo dociekliwy, ale ostatecznie dawał spokój. Potem wracaliśmy razem do Wrocławia. Ale z pociągu wychodziliśmy pojedynczo, każdy na własny „punkt”. Tam zawartość plecaka odbierał jakiś Franek, Józek czy ktoś inny i to rozchodziło się w ich własnym gronie. Dzięki temu bibuła krążyła po całym kraju. Rzadko się zdarzało, żeby nasze własne wydawnictwo, najczęściej Profilu lub NZS-u wrocławskiego, które stąd wyekspediowaliśmy, nie przechodziło przez moje ręce ponownie. Czasami wyjeżdżałem w większą ilość bibuły na Dolny Śląsk, do mniejszych miejscowości. Ludzie, których tam spotykałem, to bardzo często były osoby powiązane z Kościołem, niekiedy duszpasterstwa akademickie czy młodzieżowe, bywały i osoby starsze i one także przekazywały nasze publikacje dalej.

Ciekawe były nocne opowieści ludzi, z którymi się pracowało, szczególnie w drukarni. Te przesmieszne sytuacje, gdy unikali „wpadek” w ostatniej chwili. Żadna bohaterstyczna, człowiek robił to, co uważał za stosowne i co do niego należało. Jeżeli ktoś chciał być „bohaterem”, to bardzo łatwo mógł „wpaść”. Myślę, że Służba Bezpieczeństwa miała wiedzę o tym, co się dzieje, ale bez szczegółów. Według mnie naprawdę najgroźniej było w samej końcówce tego okresu, czyli w latach '87, '88. Mieliśmy wtedy do czynienia z totalnym marazmem społeczeństwa. Pamiętam dyskusje, które były prowadzone w NZS-ie. Co robić? Jak? Nikt się nie spodziewał, że komuna upadnie tak szybko. Część mówiła, że to będzie długi marsz,

że nie uda się zmienić systemu od razu. Tym bardziej, że było nas naprawdę niewielu. Oczywiście, jak były strajki na filologii polskiej w '88 roku, to zaangażowała się w nie duża grupa ludzi. Wiadomo, część studentów trochę przez przypadek, część, bo się ciągnie tam, gdzie idą inni. Ale po strajkach w Nowej Hucie czy w Gdańsku był już kompletny marazm. Uważam, że wtedy było najbardziej niebezpiecznie. Ludzie byli zmęczeni stanem wojennym, zmęczeni sytuacją gospodarczą, w większości zajmowali się tylko tym, jak przeżyć od pierwszego do pierwszego, jak funkcjonować. Oni już tak naprawdę nie chcieli żadnej zmiany. I to zmęczenie dawało się odczuć. Na początku lat osiemdziesiątych jeżeli kogokolwiek aresztowano, to było duże wsparcie społeczne wobec zatrzymanych. Pod koniec ludzie się tym niespecjalnie interesowali.

Grupa, która do samego końca była wystawiona na ogromne ryzyko, byli wojskowi. Miałem dość dobry kontakt z wojskowymi, trochę przez przyszłego teścia, a trochę ze względu na to, iż członkowie mojej rodziny tworzyli policję państwową na Śląsku po pierwszej wojnie światowej, toteż były tradycje i były kontakty. Józef Piniór prosił mnie, żebym te kontakty podtrzymywał. Kolportowałem pismo kierowane do oficerów i żołnierzy. Odbiorcami była grupa niezwykle odważnych wojskowych, którzy wewnątrz tej bardzo hierarchicznej struktury tworzyli plany budowy nowej polskiej armii.

Później część tych ludzi tworzyła stowarzyszenie Viritim, o ile dobrze pamiętam. Myślę, że państwo polskie wielu z tych młodych oficerów zrobiło krzywdę. Bo w latach osiemdziesiątych ludziom tym grozono wyrzuceniem ze służby, blokowano awanse. Wystarczyła tylko sugestia, że człowiek ma niewłaściwe poglądy. Chciałbym się mylić, ale mam wrażenie, oni dostali też „łupnia” po odzyskaniu niepodległości. Nikt nie docenił ich wysiłków. Dzisiaj należałoby, moim zdaniem, spróbować znaleźć tych ludzi i im najzwyczajniej w świecie podziękować, że byli. To nie byli żadni zdrajcy. Wierzyli, że armia może być użyta dla dobra narodu, a nie wbrew narodowi.

Moje pokolenie miało to szczęście, że weszliśmy w rewolucję. Tego nam nikt nie zabierze.



Fot. B. Paciejewska / OPIP

Po części ją przygotowaliśmy. I dzięki temu, a także dzięki książkom, dzięki wiedzy, dzięki spotkaniom w duszpasterstwie, różnym nocnym dyskusjom, mogliśmy wyjść w wieku dwudziestu paru lat z doświadczeniem w zarządzaniu zespołami ludzkimi. To się nam później bardzo przydało, abstrahując od tego, że my politycznie, jak się okazało, bardzo się różniliśmy i różnymi.

Byłem jednym z najmłodszych wójtów w Polsce, moi koledzy najmłodszymi burmistrzami, wiceprezydentami, prezydentami, szefami firm. To się udało właśnie dzięki temu doświadczeniu...



Fot. J. Woźny / OPIP

## Bogdan Zdrojewski

Proces budowania świadomej postawy jest zjawiskiem rozciągniętym w czasie, związanym z kształtowaniem osobowości. Najważniejsza jest zawsze atmosfera w rodzinie. W moim przypadku zdecydowały losy mojego ojca i jego brata, którzy w początkach lat pięćdziesiątych trafili do więzienia za próbę obalenia ustroju siłą. Dostali bardzo wysokie wyroki. Brat ojca spędził kilkanaście lat w więzieniu. Ominęły go wszystkie amnestie. Mego ojca wypuszczono troszkę wcześniej ze względu na bardzo słaby stan zdrowia. Rozmawiano o tym w domu praktycznie przy każdym święcie, przy każdej uroczystości, przy każdym spotkaniu. Nie było przy tym atmosfery nienawiści. Zdarzenia były przyjmowane z wielką pokorą,

tak, jakby to nieszczęście, czyli komunizm, który spadł na nas, był krzyżem, który trzeba dźwigać z godnością.

Jeżeli ojciec spędził w więzieniu parę ładnych lat, a jego brat kilkanaście, to, oczywiście, nie można było tego ukryć przed dzieckiem. W domu nie pojawiały się jednak elementy agresji, które mogłyby zakłócić moją edukację w szkole, która, jakby nie było, była komunistyczna. Oczywiście, ojciec interesował się tym, czego uczono nas na lekcjach historii, ale korekty tej wiedzy nie były nachalne. Ojciec dobrze znał historię, w domu były wszystkie możliwe książki historyczne. Interesował się szczególnie II wojną światową i jej konsekwencjami. Od czasu do czasu pojawiały się



książki spoza obiegu. Nie przeszedłem jednak jakiejś nadzwyczajnej inicjacji, nie byłem w żaden sposób indoktrynowany.

Z polityką zetknąłem się we Wrocławiu, gdzie zamieszkaliśmy w 1973 roku. Byłem wtedy w drugiej klasie szkoły średniej i tu trafiłem od razu w ręce organizacji młodzieżowych, do których próbowano mnie na siłę zapisać. Przed maturą był przymus pójścia w pochodzie pierwszomajowym. To był dla mnie wielki kłopot. Pamiętam, że braliśmy biało – czerwone szturmówki, do tego kupowaliśmy materiał w kolorze zielonym, żeby to szybko przerobić na flagi Śląska Wrocław. Dzisiaj mamy szacunek dla barw narodowych, podobne praktyki uznalibyśmy za wandalizm, ale wtedy obok flag biało-czerwonych były też czerwone. Tych czerwonych szturmówek było zazwyczaj najwięcej.

Potem powstała kwestia wyboru studiów. Dostałem od razu w łeb, bo zdawałem na Wydział Prawa Uniwersytetu Wrocławskiego. Pamiętam, że dostałem pytanie o Hermaszewskiego i potęgę gospodarczą Związku Radzieckiego i do tego jeszcze „normalne”, niepolityczne pytania. Odpowiedziałem zgodnie ze swoją wiedzą na temat tego, jak ta potęga wygląda. Pan profesor delikatnie mi podziękował i powiedział, że chyba pomyliłem uczelnie, że jeżeli będę miał dostęp do uczelni zachodnich, to on zaprasza, ale to jest uczelnia państwowa i że nie będę pluł na państwo. Tak mniej więcej zakończyły się moje egzaminy. W tamtym czasie wpadła mi w ręce bardzo interesująca książka Leszka Kołakowskiego pt. „Kultura i fetysze”, zresztą zakazana w normalnym obiegu. Pod jej wpływem postanowiłem zdawać na filozofię. Wydawało mi się, że będę studiował filozofię indyjską, filozofię brytyjską, a tymczasem okazało się, że każdy przedmiot to był marksizm: marksizm a antropologia, marksizm a Kant, marksizm a Hegel. Kompletna katastrofa.

Przed '80 rokiem działalność opozycyjna była słabo widoczna. Pojawienie się apelu czy druku, czy wezwania, czy listu korowców na przykład, to była prawdziwa sensacja. Te rzeczy były łatwo dostępne w Warszawie. Natomiast we Wrocławiu taką działalność prowadziło Towarzystwo Kursów Naukowych czy wąskie grupy SKS-u. To były

elitarnie organizacje. Były dość hermetyczne, zamknięte ze względu na warunki bezpieczeństwa.

Na studiach bardzo szybko zaangażowałem się w działalność opozycyjną. Moim pierwszym tego rodzaju doświadczeniem było spotkanie z Markiem Burakiem. Marek Burak należał do opozycjonistów w strukturach nie tylko studenckich, ale także korowskich, „dorosłych”. Był bardzo ostro represjonowany na filozofii. Był postponowany przez swoich kolegów, bo miał poglądy inne niż cała grupa. W związku z tym obrywał nieprawdopodobnie. Mało tego, jego koledzy składali na niego donosy. Wtedy była to jedyna wśród studentów filozofii postać silnie zaangażowana. Pamiętam jego plecak, który od czasu do czasu rzucał gdzieś w kąt. Parę razy powierzył go mi, żebym z nim wyszedł. W takich sytuacjach był natychmiast łapany, sprawdzany, kontrolowany, przetrzymywany w nysce. Tymczasem mój rocznik, inaczej niż lata wyższe, wtedy drugi, trzeci, czwarty, był cały z jednym wyjątkiem NZS-owski. Ja byłem właściwie – nieformalnym wówczas jeszcze – szefem opozycji na filozofii. Losy mojej rodziny były znane, więc miałem bardzo silny mandat. Pomagałem Markowi Burakowi i on mnie w pewnym sensie rekomendował, a poza tym byłem bardzo dobrym studentem. W związku z tym wszyscy wiedzieli, że mam większe szanse przetrwania w zderzeniu z niektórymi profesorami, którzy mogliby mnie represjonować, gdybym był rzeczywiście słabszy. A muszę w tym miejscu dodać, że nawet ci wykładowcy, którzy byli bardzo mocno zaangażowani w strukturach PZPR, szanowali wiedzę.

Gdy patrzymy na Solidarność z perspektywy podręcznika historii, widzimy przywódców w stoczniach, w kopalniach, zorganizowaną Solidarność związkową. Tłumy manifestujące na ulicach. My czuliśmy tę atmosferę, ale w roku osiemdziesiątym osób działających jawnie nie było wcale dużo. Kiedy zapisywałem się do NZS-u – organizacji, która wtedy była nielegalna – to na wydziale było ok. 80 członków. Natomiast w styczniu roku osiemdziesiątego pierwszego, w lutym, kiedy wybuchł strajk w Łodzi, zapisanych było już 400 osób, czyli co czwarty student, potem połowa. Natomiast w pierwszych miesiącach przeważała ostrożność. Większość mówiła – popieramy

cię, świetnie, że to robisz, masz nasze wsparcie, ale wiesz, ja się teraz nie zapisuję, bo mam mało czasu – tego typu wymówki były dosyć częste. Kiedyś postanowiliśmy zmienić patrona Uniwersytetu Wrocławskiego, którym był wówczas Bolesław Bierut. Zaczęliśmy zbierać podpisy. Okazało się, że poparcie dla tego projektu jest minimalne i że bardzo dużo osób się boi, choć – jakby nie było – postać Bolesława Bieruta była odbierana jako jednoznacznie negatywna. Wtedy wymyśliliśmy, że robimy happening: zamieniamy uniwersytet BB – Bolesława Bieruta, na BB – Brigid Bardot. Pamiętam takie zdjęcie, które się ukazało w książkowej historii uniwersytetu, gdzie pokazuje się dwóch „nieznanych studentów”, którzy zamalowują Bolesława Bieruta, ale pozostawiają literki BB. Tymi „nieznanymi studentami”, byłem ja – na drabinie, a trzymającym drabinę był Waław Żołyński, student historii i filozofii. W każdym razie ta akcja wypaliła, wszyscy chwycili formy happeningowe, lżejsze, wydawało się, bezpieczniejsze, natomiast podpisywać się pod atakiem na Bolesława Bieruta nie chciano wcale.

13 grudnia oczywiście byłem na strajku studenckim i pracowniczym w gmachu głównym uniwersytetu. Podzieliliśmy się na grupy dyżurujące. W budynku – inaczej niż na politechnice – było nas niedużo, a na noc zostało, o ile pamiętam, około sześćdziesiąt, siedemdziesiąt osób. Ja miałem mieć wartę między czwartą a szóstą. W związku z tym półnagi położyłem się na materacu na pierwszym piętrze. I w takim stanie – na bosaka, bez koszuli – zastało mnie szturmujące budynki ZOMO. Był mróz. Dostałem parę razy pałką. Próbowałem wiać buty, ale dostałem parę razy po rękach. I tak, boso zostałem wyprowadzony do nyski. Czekało na następnych wyprowadzonych. Podłoga była metalowa, bałem się położyć na niej stopy, bo przymarzłyby po prostu. Wiać siedziałem z nogami do góry, żeby niczego nie dotknąć. I wtedy pamiętam, że dostałem od jednego ze studentów jeden trampki, żeby na tym trampku można było oprzeć stopę.

Był to dramatyczny moment. Wydawało się, że wali się Polska.

Przewieziono nas wtedy na Łąkową. Przesłuchania były dość agresywne. Odbywały się pod

presją, posługiwano się szantażami. Parę razy dostałem hełmem po plecach. Zaskoczył mnie brak profesjonalizmu funkcjonariuszy. Wyobrażałem sobie, że ta służba jest lepiej zorganizowana i przygotowana. Moje doświadczenia pokazują, że ta instytucja była barbarzyńska w swojej naturze i zachowaniach poszczególnych funkcjonariuszy, a nie taka, jak się ją od czasu do czasu pokazuje, jako sprawną, fantastycznie działającą organizację. Pełno w niej było zwykłych bandytów.

Brutalność wobec studentów była mocno kontrolowana. Byli tacy, wobec których się hamowano, a wobec innych stosowano przemoc. Pamiętam, że bardzo agresywnie traktowano Tadeusza Maćkałę, a to z tego powodu, że on na tym strajku studenckim był z finką i toporkiem. Uznano, że to są narzędzia zbrodni. Nawet w gazecie był duży artykuł o tym, jak studenci przygotowali się do ataku na władzę ludową. A on po prostu miał finkę i toporek, wybierał się 13 grudnia nie na strajk, tylko na jakąś wędrówkę górską czy coś takiego.

Następne kontakty ze służbą bezpieczeństwa wyglądały różnie. Pamiętam, jak zwinęto mnie z domu na podstawie informacji, że jestem dystrybutorem nielegalnych czasopism na Akademii Ekonomicznej. Wtedy spotykałem się z agresją werbalną, ale jednocześnie z licznymi szantażami, groźbami użycia siły fizycznej. Natomiast już potem nie byłem nigdy potraktowany ostro, nie zostałem pobity itd.

Po wyjściu z aresztu postanowiliśmy odbudować zdekomponowaną strukturę NZS. Oparliśmy się na komitecie strajkowym, który przetrwał w połowie. Ja zostałem – początkowo nieformalnym – szefem Niezależnego Zrzeszenia Studentów w podziemiu. Struktura powstała na bazie władz wydziałowych i została bardzo szybko odbudowana, ale organizacja nie była już tak liczna, jak przed wprowadzeniem stanu wojennego. System dystrybucji nielegalnych wydawnictw był jednak fenomenalny. Uważam, że to był jeden z najlepszych systemów dystrybucyjnych w kraju. Pierwsze komunikaty wydawaliśmy już w styczniu, lutym. Duża akcja rozrzucenia ulotek przeciwko stanowi wojennemu w tramwajach odbyła się pod koniec lutego na wszystkich pętlach tramwajowych. Potem założyliśmy trzy maleńkie



Fot. K. Jakubczak

drukarnie. Jedną bardzo blisko mojego domu. Zacząłem partycypować w różnych inicjatywach. Muszę powiedzieć, że było to dość niebezpieczne, ale – jak się okazało – bardzo potrzebne. Pracowałem z Antkiem Wojtowiczem. Robiliśmy dodruki. Jedną z drukarni, na ul. Glinianej, służyła specjalnie temu, żeby dodrukowywać to, co ukazało się w niewystarczających nakładach. W innym miejscu uruchomiłem pracownię fotograficzną. Zdjęcia były dystrybuowane nie tylko w kraju, trafiały także do korespondentów zagranicznych mediów.

Robiłem wtedy wiele rzeczy: drukowałem bezpośrednio na „ramkach”, bo powielacz zdarzył się dość późno, więc to był epizod. Pisałem także teksty. Byłem również w jakimś sensie zaopatrzeniowcem. Drukowałem szczególnie komunikaty i przedruki, ale nie tylko. Uczestniczyłem w strukturze, która była budowana przez Adama Lipińskiego, w działaniach o charakterze edukacyjnym. Było tego dosyć dużo...

Fotografia była dla mnie źródłem kłopotów ze wzrokiem. Po pierwsze, pracowano w nocy. Większość fotografii i odbitek robiłem w łazience, w budynku z lat siedemdziesiątych, pomieszczenie miało maksimum półtora – dwa metry kwadratowe powierzchni. Nie mogło być dostępu

światła, więc trzeba było wszystko dokładnie zatkanąć. Nie było wentylacji. Wywoływanie klisz to jest uwalnianie tlenku srebra. Ten tlenek srebra oczywiście powodował ból głowy. Znam osoby, które w wyniku działalności opozycyjnej rzeczywiście utraciły zdrowie. Największym zagrożeniem były jednak, oczywiście, pewne zaburzenia równowagi emocjonalnej czy nerwowej. Żyło się w ciągłym napięciu, stresie. Było kilku takich chojraków, dla których stan wojenny to była dodatkowa adrenalina, ale to nie była duża grupa. Większość osób naprawdę się przejmowała. Większość z nas była bardzo młoda, z związku z tym świadomość skali zagrożenia nie była pełna. Z czasem ta działalność się uspokajała, powszedniała. Pamiętam osiemdziesiąty piąty – szósty rok. Niewielu nas wtedy zostało. Całe Niezależne Zrzeszenie Studentów w osiemdziesiątym piątym roku, kiedy kończyłem studia, liczyło około 400 osób. Dawało się odczuć „zmęczenie materiału”, brak wiary w sukces takiej działalności, która się zresztą, w pewnym sensie, sprofesjonalizowała. Była pewna grupa osób, która „żyła” z podziemia. Pamiętam, jak jeden z drukarzy zawodowych opowiadał mi, że na Archipelagu Gułag Sołżenicyna czy na Głównych nutach marksizmu wybudował



Fot. K. Jakubczak

sobie dom pod Warszawą. Nie wszystkie osoby były tak skrupulatne, jak np. Józef Pinior, który przeznaczył wszystkie środki finansowe Solidarności na działalność wspomagającą i rozliczył się z tego precyzyjnie, co do jednego grosza. Były osoby, które pomagając opozycji, też na tym trochę zarabiała. Były też takie osoby, które straciły normalną pracę i zajęły się pracą wyłącznie w podziemiu. W związku z tym działalność opozycyjna stanowiła źródło utrzymania rodziny. Natomiast przypadki dobrego dochodu były rzadkością, ale warto o nich pamiętać, bo to jest element pewnego obrazu, który od czasu do czasu nam się zamażuje i staje się nieprecyzyjny.

W osiemdziesiątym roku trafiłem do wojska, mimo że studiowałem drugi kierunek. Kiedy dostałem akt powołania, postanowiłem skończyć studia w przyspieszonym tempie. Nie zdążyłem jedynie obronić pracy magisterskiej. Miałem skończone dwadzieścia siedem lat i dwójkę dzieci, które były na moim utrzymaniu. Mimo to wyładowałem w Kędzierzynie-Koźlu, gdzie trafiała cała opozycja razem z górnikami z normalnego poboru.

Z wojska zwolniono mnie przedwcześnie. Akurat wtedy były wybory do Rad Narodowych.

W Opolu przygotowaliśmy więc dwie akcje: najpierw zbieraliśmy karty do głosowania. Duża część żołnierzy wrzucała do urn puste koperty, a puste karty do głosowania trafiały do nas. Potem pojawiała się informacja, że 100 procent wojska wzięło udział w głosowaniu i że 100 procent zagłosowało na Front Jedności Narodu. Węc następnego dnia rozrzuciliśmy te karty, które do urny nie trafiły. Zaczęło się śledztwo, było WSW, pojawili się bardzo ważni funkcjonariusze Służby Bezpieczeństwa, ale koniec końców dochodzenie umorzono, nie znaleziono żadnego sprawcy, a ja pożegnałem się ze służbą wojskową w grudniu zamiast o miesiąc później.

Już wcześniej zatrudniono mnie na Akademii Ekonomicznej. Stało się tak po tym, jak – mimo wygranego konkursu – nie zostałem przyjęty do pracy na Uniwersytecie. Podstawowa Organizacja Partyjna PZPR zgłosiła sprzeciw mimo wygranego konkursu, mimo pozytywnej decyzji władz wydziału, władz instytutu, władz senackich, i rektora. Wtedy przyjął mnie do pracy prof. Józef Kalenta – rektor Akademii Ekonomicznej. Przyjął także Najnigiera i jeszcze parę innych osób z opozycji. Jako jedyny opozycjonista trafiłem do katedry socjologii i systematycznie, co pół roku, miałem





Fot. I. Hasik / OPIP

rozmowy „wychowawcze”. Potem, kiedy wróciłem z wojska, na Akademii Ekonomicznej działała mała komórka Solidarności. Szybko włączyłem się w jej prace. Zaczęliśmy wydawać pierwsze regularne czasopismo i troszeczkę ożywiłmy Akademię, choć była to wówczas uczelnia bardzo komunistyczna.

Nadszedł rok osiemdziesiąty dziewiąty. Założyłem wtedy pierwszy w Polsce niezależny ośrodek badań społecznych. Zrobiłem to, bo nie wierzyłem w wyniki badań upowszechniane przez pułkownika Kwiatkowskiego, stojącego na czele OBOP-u. Warsztat badawczy miałem dobrze opanowany, bo cały czas uczestniczyłem w projektach badań w zakresie socjologii kierownictwa, socjologii zespołów, socjologii konfliktów w zakładach pracy. W związku z tym wiedziałem bardzo dokładnie, jak się fałszuje wyniki, jak się próbuje oszukiwać statystykę... Nasze badania były prowadzone nie tylko w kierunku określenia wyników wyborów, lecz sprawdzały także skuteczność naszego przekazu informacyjnego. Trafiłem z wynikami wyborów tak dobrze, tak precyzyjnie, jak nikt w Polsce. W związku z tym mój nieformalny ośrodek badań został przekształcony w normalnie funk-

cjonujący Instytut Badań RKW Solidarność. Zostałem szefem tego instytutu i sekretarzem Komitetu Obywatelskiego, na czele którego stanął Rafał Dudkiewicz. Kiedy skończyłem pracę w ośrodku, moją następczynią została świętej pamięci Aleksandra Natalii Świat.

*Relacji wysłuchał Juliusz Woźny.  
Pełny zapis rozmów w zbiorach Centrum  
Dokumentacyjnego Ośrodka  
Pamięć i Przyszłość.*